

Fragment utworu w przekładzie

Barbara Peveling
Gewalt im Haus
Intime Formen der Dominanz

Edition Nautilus, Hamburg 2024
ISBN 978-3-960-54376-3

Str. 22-35

Barbara Peveling
Przemoc w domu
Intymne formy dominacji

Przekład: Ewa Mikulska-Frindo



Nie co noc, lecz każdego dnia

Piszę ten esej w jednym z tych dni, w których nie brakuje mi sił, by zastanawiać się, co działo się w te wszystkie noce i co wolałam postrzegać jako pomyłkę, błędne posunięcie lub głupi przypadek, który zdarza się tylko raz – jako nieprawidłowość, a nie system, niekończący się koszmar senny. Piszę ten tekst z perspektywy tych dni, kiedy strach mnie nie przytłacza i nie czyni uległą niczym jedną z tych poslušnych kobiet, które urodziły się i dorosły wyłącznie po to, by służyć mężczyźnie, który użyje przemocy, jeśli ona się nie podda.

Piszę ten tekst dla wszystkich kobiet, których strach jest większy niż kolejny oddech, więc nie potrafią zachować się inaczej i podporządkowują systemowi, ulegają, chociaż wiedzą, przypuszczają lub przynajmniej mają nadzieję, że ta sytuacja jest nieprawidłowa i że są warte więcej niż funkcje domowe, które im się przypisuje. Piszę ten tekst dla wszystkich kobiet, które spuszczaają wzrok, przełykają ślinę, kulą ramiona, wychodzą z domu ze wstydem, bo w jego czterech ścianach wciąż rozlegają się grzmoty, choć grzmieć powinno tylko na zewnątrz, na otwartej przestrzeni, a nie w bezpiecznym domu, w intymnej sferze. Piszę go dla kobiet, którym udało się zostawić przemoc za sobą i które zastanawiają się, jak mogło do tego dojść i dlaczego je to spotkało. Piszę tę książkę dla każdej kobiety, która straciła życie, ginąc z rąk mężczyzny. Piszę ją dla dzieci kobiet, które dniami i nocami mają żołądek związany w supeł. Piszę ją dla dzieci, które leżą w łóżku z otwartymi oczami, słysząc podniesione głosy. Dla dzieci, które jeszcze nie potrafią czytać i pisać, ale już muszą zadawać sobie pytanie, gdzie chcą mieszkać i z kim, bo wiedzą, że jeśli jutro ich świat się ostatecznie zawali, jedno z rodziców odejdzie na zawsze. Dla dziecka, którym byłam, i które nigdy nie potrafiło odpowiedzieć na to pytanie. Myślało, że odejdzie, nie, będzie musiało odejść ze swoim ojcem, ponieważ nie miał już nikogo, nawet wtedy to było jasne.

Piszę tę książkę z powodu miłości dzieci do rodziców i ich prawa do miłości wobec obojga rodziców, bo miłości nie da się podzielić ani odjąć jak w zadaniu matematycznym. Bo prawo do miłości wobec rodziców jest również prawem do własnej tożsamości. Piszę ten esej dla ojców tych dzieci. Piszę ten esej dla każdego mężczyzny, który nie potrafi się kontrolować. Dla każdego mężczyzny, który wciąż traci panowanie nad sobą, chociaż obiecał, że już tego nie zrobi, że nie będzie przeklinał, bił i używał przemocy. Piszę tę opowieść dla wszystkich mężczyzn, którzy dobrze wiedzą, że – jeśli chcą – potrafią się opanować, a mimo to tego nie

robią. Piszę ją dla każdego mężczyzny, który wchodzi w słowo kobiecie. Piszę ten esej dla każdego mężczyzny, który chce być szefem, który musi nim być, odgrywa wielką *szycę*, obojętnie, czy tego chce, czy nie potrafi inaczej. Dla każdego mężczyzny, który postanawia być inny, inny niż jego ojciec, brat, wujek, sąsiad, jeden z tych wielu mężczyzn, którzy przerywają kobietom, ponieważ wiedzą lepiej, którzy dają im odczuć, że mężczyźni wiedzą lepiej, że kobiety są na dole hierarchii¹; dla mężczyzn, którzy pozwalają sobie na uwagi na temat parkowania, opowiadają kawały wyrażające męską przewagę, dotykają kobiet, które nie chcą być dotykane, są wściekli, bo kobiety nie chcą być dotykane; którzy tłumią wściekłość z tego powodu lub tego nie robią. Piszę ten tekst dla mężczyzn, którzy cierpieli z powodu innych mężczyzn, ponieważ nie mogli dotrzymać im kroku w picciu, sporcie i codziennej rywalizacji w toksycznej męskości. Piszę ten esej dla wszystkich tych, którzy śledzą hashtag #NotAllMen, bo oczywiście nie wszyscy mężczyźni biją, mordują, poniżają i stosują przemoc. Nie wszystkie psy gryzą, nie wszystkie kobiety doświadczyły mizoginii lub powiedziałyby, że jej doświadczyły, ale tak długo, jak istnieją ludzie uciskani przez innych z powodu przypisanej lub wybranej przez nich płci, tak długo, jak istnieją struktury społeczne prowadzące do tego ucisku, dotyczy to nas wszystkich. I wreszcie piszę też dla mojego ojca, który stał się sprawcą, ponieważ był ofiarą, i który w ostatecznym rozrachunku był jedynie ofiarą. Piszę, aby nie było już ofiar, ponieważ bez sprawców nie ma ofiar i odwrotnie. Piszę.

Miesiąc miodowy

Trwa dopóty, dopóki klimat napięcia znów nie zacznie narastać. Kiedy terapeutka mi to powiedziała? Na którą z moich historii zareagowała w ten sposób? Które z moich wspomnień wywołało te słowa?

Miesiąc miodowy, powiedziała – księżyc pełen miodu, lunacja szczęścia, które wciąż się odnawia, ale nie jest trwałe, migocze i pobłyskuje jak pieśń zakochanych – jest częścią tak zwanego błędnego koła przemocy domowej. Zignorowałam jej słowa, opowiadając dalej. Musiałam się czegoś pozbyć, wyrzucić z siebie cierpienie, zostawić na tej sesji wszystko, co wydawało mi się nie do pokonania. Chciałam znów wyjść z jej gabinetu z nadzieją w sercu niczym dziecko kręcące pozytywką.

Później napisałam listy. Wszyscy członkowie mojej rodziny pochodzenia otrzymali list mówiący o tym, że pragnę od niego odejść. Napisałam, że jest mi trudno i nie mogę już

¹ Manne, Kate: *Down Girl. The Logic of Misogyny*. Oxford, Oxford University Press 2017

tego wytrzymać. Że to po prostu nie jest już *możliwe*. Nie napisałam, pomóżcie mi, zabierzcie mnie stąd. Jedynie, że tak dalej być nie *może*.

Czego się wówczas spodziewałam? Na pewno czegoś innego niż życzliwych odpowiedzi, które do mnie trafiły. *Z pewnością wiecie, co trzeba robić*, napisali, *i po dokładnym namyśle podejmiecie właściwą decyzję*. Może dla członków mojej rodziny sama odpowiedź była czymś wyczerpującym, w końcu to ich nie dotyczyło, chodziło o mnie i o niego. Więc chyba wyszli z założenia, że robią, co w ich mocy. Więcej się nie *dało*. Milczenie to także postawa wynikająca z poczucia wstydu.

Co by zrobili, gdybym napisała: niewiele brakuje, żebym się zabiła, zanim on mnie zabije, boję się, zabierzcie nas stąd, pomóżcie mi i dzieciom, proszę, nie zniosę tego dłużej, jeśli tak dalej *pójdzie*, wjadę z dziećmi w pierwsze lepsze drzewo.

Nie ma oficjalnych danych na temat samobójstw kobiet w Europie spowodowanych przemocą domową. Przemoc psychiczna jest wprawdzie przestępstwem, lecz właśnie w związkach szczególnie trudno ją udowodnić. Gdyby na przykład dodać liczbę ofiar samobójstw do istniejącej liczby ofiar, obraz przemocy domowej byłby jeszcze dramatyczniejszy niż obecnie.

Może trzeba było mnie wysłać na leczenie psychiatryczne, nie na psychoterapię. Podać leki, które mnie uspokoją, zwłaszcza moją głowę. Nikt nie zabrał mnie z domu, nie kazał mnie hospitalizować, ale nie myślcie, że tak stało się z mojego powodu. Kto zająłby się dziećmi, jeśli nie ja? Kto wykonywałby prace opiekuńcze w domu?

Słowa terapeutki: *miesiąc miodowy, klimat napięcia* lub *kryzys* wciąż brzmiały mi w uszach. Wskazała na pewne cykle, powtarzający się rytm, fazy jak podczas burzy: wzrost, kulminacja i rozładowanie. Lenore E. Walker opisała fazy cyklu przemocy domowej w następujący sposób: *narastanie napięcia – kryzys – miesiąc miodowy*. Zastanawiałam się, czy te cykliczne wydarzenia można przewidzieć, a może nawet jakoś połączyć i tym samym kontrolować jak powtarzające się dźwięki melodii.

Jest wiele rzeczy, które przemilczałam podczas terapii, wiele scen, o których nie mogłam mówić bez poczucia winy i wstydu.

Dzieci były wtedy jeszcze bardzo małe, a tamtego wieczoru wyjątkowo niespokojne. W restauracji ciągle biegały od naszego stołu do kącika zabaw i właśnie dlatego, że były tak małe, trzeba było ich pilnować. W bawialni nie było niczego poza telewizorem, w którym w kółko leciały piosenki z bajek Disneya. Siedziałam tam, kiedy zagadnęła mnie znajoma mama z przedszkola. Pokazywano właśnie scenę, w której Donald pędzi przez wąwóz przyczepą kempingową, tym domem na kółkach, którego nie można już wyhamować, a ja

zastanawiałam się, ile razy widziałam tę kreskówkę. Zamieniałyśmy właśnie kilka słów, ot, zwykła pogawędka między matkami o wychowawczyniach i administracji przedszkola, tak naprawdę o niczym istotnym, kiedy nagle stanął obok nas i zaczął coś mówić. W jego głosie było słychać irytację, to przecież kolejny okropny wieczór, kiedy nie da się zapanować nad dziećmi. Obie struchlałyśmy, ten ton był jednoznaczny, wyraźnie było słychać, że nie może już znieść tej sytuacji i za nieudany wieczór, hałasujące dzieci, zamieszanie i brak satysfakcji obwinia mnie. Tamta kobieta przeprosiła i, uśmiechając się, odeszła. Ze wstydu i gniewu zrobiło mi się gorąco. Wrócił na miejsce, poszłam za nim i usiadłam przy stoliku. Nie przeprosił, próbowałam jeszcze uspokoić dzieci, rozmawiałam z nimi, oczywiście na próżno, głos zaczynał mi już drżeć. Nadal mówił tym zirytowanym tonem, wystygło mu mięso na talerzu, bo musiał nas szukać. Później powie, że chciał jedynie chwili dla nas i był bardzo rozczarowany, że to się nie udało, że nie mieliśmy ani minuty spokoju i nie mogliśmy zamienić ze sobą nawet dwóch zdań w ciszy. Tak wyglądały jego późniejsze przeprosiny, napięcie minęło, kryzys też, powiedział to w *miesiącu miodowym*. Powiedział jeszcze dużo więcej, przede wszystkim, że *to* się już nigdy nie powtórzy. Siedzieliśmy razem przy stole, gdzie narastało napięcie, zanosilo się na kryzys, który zbliżał się do nas jak przelotny deszcz, on mruczał coś pod nosem i do mnie, zapluł sobie *brodę*, jak to się mówi. Dziś nie potrafię już powiedzieć, czy ją miał, czy świeżo ogolił się na wieczór, lecz niewiele później, gdy podekscytowane dzieci znów biegały po restauracji, napięcie nadal narastało, powiedzmy, że grzmiało coraz głośniejsze, aż nagle uderzył piorun. Chwilę wcześniej jedno z naszych zaaferowanych dzieci przebiegło nas i przewróciło kieliszek z winem. Połowa trunku wylała mu się na spodnie. Nie wiedziałam, co go bardziej zdenerwowało, rozlane wino czy poplamione ubranie, ale zebrały się chmury, więc złapał dziecko, chwycił je mocno za ramię, źrenice dziecka rozszerzyły się ze strachu, a on odgrażał się, że przestanie je kochać, przepędzi je, bo nie chce już być jego ojcem, nie chce mieć z nim nic wspólnego, jeśli natychmiast nie zacznie zachowywać się przyzwoicie. To była irracjonalna kara, z trudem przełykałam ślinę, zatkało mnie. Gotując się ze złości, fuknęłam, że nie może grozić dzieciom w taki sposób, że to niekonsekwentne, bo nigdy nie będzie w stanie tego zrealizować, i zarazem podłe, bo – przerwał mi w połowie zdania – gdybym pozwoliła mu czasem dać dzieciom klapsa, wychowanie nie byłoby takim absurdem i gdyby wino nie znajdowało się na jego spodniach, chlusnęłyby mi nim teraz w twarz. Uderzył piorun, wiedziałam, że będziemy się dalej tak kłócić, będą się sypać błyskawice i lecieć grzmoty, może nawet posypie gradem, dopóki znów nie poddam się jego dominacji, a ponieważ tego nie chciałam, podniosłam się,

by sprawdzić, co z dziećmi, które nie były już podekscytowane, lecz przerażone, dosłownie wyciągnęłam je ze sobą na ulicę, zdążyłam wcześniej zamówić taksówkę.

Nie odwróciłam się. Gdyby nie miał kluczyków w kieszeni, odjechałabym po prostu samochodem. Pamiętam, jak na drżących nogach chowałam się przed nim za krzakiem, przed tymi wszystkimi błyskawicami i grzmotem; gdyby wyszedł nas szukać, nie chciałabym z nim rozmawiać, i tak by mnie nie słuchał, burza już się rozszalała, pojawił się kryzys, powiedziałam dzieciom, żeby zachowały spokój i zostały ze mną. W taksówce wyłączyłam telefon. W domu szybko położyłam dzieci spać, ale najpierw pozamykałam wszystkie drzwi i okiennice, a kiedy stał na zewnątrz i mnie wołał, milczałam, aż jego krzyki stały się tak głośne, że zaczęłam się bać, że sąsiedzi zawiadomią policję. Kiedy znów zaczął walić w drzwi, włączyłam komórkę. Powiedziałam, że ma znaleźć hotel i zniknąć, ma przecież samochód. Nie może tego zrobić, krzyczał, niszczy jego i naszą rodzinę. Ale odjechał.

Tamtej nocy działałam instynktownie, pod wpływem impulsu, byłam żoną i matką, która uciekała przed burzą, starając się zapobiec pożarowi wywołanemu uderzeniem pioruna. W tamtym czasie nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że dom jako miejsce, w którym są przypisywane pewne role, jest zarazem najbardziej intymną areną walki o dominację i że musiałam uciekać przed jego społeczną koncepcją.

Wstydzę się tej sytuacji, dlatego nigdy nie opowiedziałam o tym terapeutce i nawet teraz, kiedy to piszę, odczuwam wstyd. Wstydzę się nie dlatego, że tamtego wieczoru zostałam potraktowana przez niego tak protekcyjnie i nie dlatego, że się broniłam, bo wróciłam do domu, zamknęłam drzwi i zostawiłam go na zewnątrz – lecz dlatego, że otworzyłam je ponownie następnego dnia. Wstydzę się swojej słabości. Napięcie minęło, podobnie jak kryzys. *Miesiąc miodowy* to pierwsza i ostatnia faza cyklu przemocy domowej.

Nigdy nie zakochałam się w mężczyźnie, który był *brutalny*, lecz zawsze w mężczyznach, którzy lubili zachowywać się zgodnie z *męskim* stereotypem, nie mieli nawet muskularnych ramion ani twardych bicepsów, ale lubili siedzieć w rozkroku i podobało im się, gdy widzieli we mnie *kobietę*. A mi szczególnie podobało się to, że zachwycali się mną i moim ciałem, emanującą z niego *kobiecością*, którą starałam się podkreślać odpowiednim strojem, makijażem i regularną dietą. Kiedy wychodziliśmy do restauracji, zamawiałam sałatkę, a nie stek, wybierałam damskie drinki, jakiś aperitif lub kieliszek chardonnay, a nie whisky lub coś mocniejszego. Ostrożnie dobierałam słowa, byłam uprzejma, zawsze miałam w torebce odpowiednie akcesoria na wypadek sytuacji awaryjnych, aspirynę na migrenę lub kaca, chusteczki nawilżane dla zaślinionych dzieci. Brałam wzgląd na każdego i zachwyciałam się charyzmą tych mężczyzn, ich siłą, słowami, decyzjami i kutasem, kiedy się

do mnie zbliżali. Chciałam czuć ich twardość, to było ważne, to wzajemne przyciąganie, głównie fizyczne, legalizowało bycie *razem*. Podobało mi się to nagłe *męskie* chwytywanie mnie za krocze, zdecydowane, ale niezbyt energiczne; słuchanie, wtedy jeszcze wydawało mi się, że on mnie słucha, lecz tak naprawdę wylapywał tylko początki zdań, wtedy jeszcze wydawało mi się oczywiste, że mężczyzna ma więcej do powiedzenia ode mnie, wchodził mi więc w słowo, czule głaszcząc po głowie, całując w szyję i dokańczył zdania za mnie, tak jak mężczyzna zwykł robić z kobietą. W tym spotkaniu, w tej miłości widać było chęć znalezienia społecznej akceptacji poprzez ciało. Starłam się określić przez nie siebie jako kobietę, a mój partner również zmagął się z fizycznym zdefiniowaniem siebie jako mężczyzny, areną tej walki był dom, a *miesiąc miodowy* stanowił jedynie przerwę między następną rundą.

Dlaczego właściwie piszę o tej walce w formie eseju, tekstu, w którym właściwie obnażam się jako autorka? Kiedyś napisałam utwór prozatorski o podobnej relacji, o miłosnym związku. O mężczyźnie, jednym z nich, zaczęłam od ojca. Fragment tego dawnego opowiadania był kiedyś nominowany do nagrody w konkursie literackim. Wybrała go jedyna wówczas kobieta w jury. Do dziś czuję wstyd, kiedy przypominam sobie dyskusję o moim tekście, którego jurorka bezskutecznie próbowała bronić przed pozostałymi członkami jury. Padały wtedy takie określenia jak *literatura kobieca*.

Po tej rozmowie podeszło do mnie kilka koleżanek, autorek – chcę to szczególnie podkreślić – mówiły, że w młodości również były z *takim* mężczyzną. Są w stanie doskonale *wczuć się* w moją historię. W ich spojrzeniu widać było współczucie, nie wiedziałam, czy to z powodu ich własnych doświadczeń, czy dlatego, że omówienie mojego tekstu nie wypadło dobrze. A więc oto *inny* tekst, bez czapki niewidki, nieukrywający się za fikcją, odsłaniający ciała, ich cierpienie i walkę ze sobą oraz przeciwko sobie.

Piszę te słowa w pociągu, obok mnie usiadła para w starszym wieku. Kobieta raz po raz spogląda na mnie, uśmiechając się, natomiast mężczyzna wpatruje się w gazetę przez całą podróż, która trwa ponad trzy godziny. On czyta, a ona otwiera i podaje mu żel dezynfekujący, chwilę później wyjmuję z torby kanapki i podaje mu je, potem także wodę, on właściwie pije z jej ręki ze wzrokiem wciąż utkwionym w gazecie. Ona daje, on przyjmuje.

Przychodzi mi na myśl opowiadanie *Czytaj gazetę!* Jeana Cocteau. *Krzyczę, pytam, denerwuję się, tracę rozum. A mój rozmówca? Z nosem w gazecie.*

Cocteau był jednym z nielicznych, którzy wspierali Françoise Gilot, malarkę i autorkę, która zdobyła niezależność dzięki tekstowi *Życie z Picassem*. W jednym z wywiadów powiedziała później, że Picasso zgasił jej kiedyś papierosa na twarzy.

Mężczyzna w pociągu nadal czyta gazetę, a kiedy jego żona z trudem wstaje i z drżeniem w dłoniach zapina ortezę podtrzymującą jej obolałe ciało, on nawet nie podnosi wzroku. Później, gdy mąż zakłada plecak, od razu służy mu pomocą. Ciągnie od tyłu sprzączkę, przytrzymując bagaż, żeby łatwiej mu było zapiąć pasek z przodu.

Ona *troszczy się* o niego, a on ją *ignoruje*.

„Nikt nie jest bardziej arogancki i pogardliwy wobec kobiet niż mężczyzna niepewny swej męskości”² – pisze Simone de Beauvoir. Zapamiętuję tę *niepewność męskości*, w mojej głowie pojawiają się obrazy, wspomnienia, jak na przykład ojciec jednego z kolegów z klasy mojego dziecka, który zaparkował harleya tuż przed wejściem do podstawówki, każąc swojemu siedmiolatkowi zejść, jakby był Tomem Cruisem na czerwonym dywanie. Ten sam chłopiec dokuczał mojemu synowi z powodu rzekomo dziewczęcego koszyka na rower. Ojciec mojego dziecka również odradzał kupno tego koszyka, będą się z niego śmiać, powiedział, ale moje dziecko nadal go używa. *Niepewność męskości* to trudna sprawa.

Być może powinnam pisać w bardziej ogólny i mniej osobisty sposób, tak jak Simone w *Drugiej płci*. Nie pisze nic o Jean-Paulu, który może był niepewny swojej męskości, pisze po prostu „mężczyzna”.

Wojna płci to kolejne popularne sformułowanie, z którym dorastałam. Ta wojna, która jak wszystkie albo prawie wszystkie toczyła się na oczach dzieci albo za ich plecami, gdy spały, prowadzona sztucznie stłumionym głosem, a przecież nie udawało nam się zachować spokoju podczas tych bitew, bo stawką było wszystko: opieka nad dziećmi, domowy budżet, czas wolny, chwila na oddech, może nawet pozew. Te wojny przed Bożym Narodzeniem, tuż po świętach, wojny w Wielkanoc, w urodziny, podczas kataru, pandemii i strajku w przedszkolu. Te wojny, które pachniały żalem, dumą i pychą, a także trochę straszną obawą przed stratą – wciąż do nich dochodziło, a potem się kończyły – a ja całkowicie ignorowałam fakt, że nigdy się do nich nie przyzwyczaiłam, mogłam się tylko im poddać. Kilka tygodni po kryzysie w restauracji zaprosił mnie do teatru. Zastanawiałam się, ale tylko krótko, bo ostatnio potrafił się opanować, a poza tym obiecał, że się zmieni, powiedział, że terapia dobrze na niego działa i jest teraz dużo spokojniejszy. Przyjęłam zaproszenie, bo nosiłam w sobie nadzieję, dźwięczała mi pod sercem jak zegar z pozytywką, była ze mną od tak dawna. Na długo zanim zostałam matką, zanim go pokochałam, zanim w ogóle wiedziałam, co

² Beauvoir, Simone de: *Druga płeć. Tom 1: Fakty i mity*, przeł. Gabriela Mycielska. Kraków, Wydawnictwo Literackie 1972, s. 22

znaczy kochać, była już we mnie ta nadzieja, że ktoś mnie pokocha, jakiś mężczyzna, na zawsze, na dobre i na złe, i żyli długo i szczęśliwie, więc przyjąłem zaproszenie i wyszliśmy razem. Ostatni raz.

I wszystko zaczęło się od nowa, burza się skończyła, zaczynaliśmy od zera, niemal *tabula rasa*, mieliśmy od nowa napisać naszą historię. Zapisalam pewne zdjęcia, pozostałe wykasowałam, odczuwałam pilną potrzebę uporządkowania wszystkiego, przede wszystkim mojego życia, oddzielenia dobrego od złego, skasowałam złe wiadomości, zostawiłam te dobre, piękne, czułe, romantyczne i pełne erotyki. Przy tej okazji usunęłam z komputera list, który napisałam do rodziny. Burza się skończyła, melodyjka znów grała, on i ja odzyskaliśmy rozsądek. Najpierw on, potem ja, ja tylko dlatego, że znów wziął się w garść. Zakopaliśmy topór wojenny i przykryliśmy go ziemią, która znajdowała się w ogródku przed naszym domem. Bez niego nie dotarlibyśmy do tego miejsca, to była podwójna prawda: chciałam odejść, a on znów mnie powstrzymał. Chciałam odejść z jego powodu, lecz również z jego powodu zostałam. Gdybym nie miała z nim dzieci, rodziny, tego łączącego nas intymnego spoiwa, koncepcji domu, nie podjęłabym tego wysiłku. Powtarzałam to sobie w kółko, jakby to była mantra albo melodia pozytywki w moim sercu. A teraz zapisuję w pociągu te zdania: przemoc domowa istnieje, ponieważ dom funkcjonuje w ścisłej hierarchii przypisanych ról. Bez nich, bez tej hierarchii nie byłoby przemocy w domu.

Wraz z kolejnym kobietobójstwem społeczeństwo widzi jedynie wierzchołek góry lodowej, ignorując „cichą przemoc”³, jak pisze Asha Hedayati, przemoc, której sprzyjają tradycyjne struktury. Mogłam pozwolić mu upaść, tak jak on pozwalał mi upadać, raz za razem. Ale teraz jeszcze tam byłam, złapał mnie, więc nie odeszłam, zostałam. Mogłam jeszcze raz zacząć od nowa, na własną rękę, ale zamiast tego pozwoliłam mu zacząć od nowa ze mną, jeszcze raz dałam mu kolejną szansę, zaczął się nasz *miesiąc miodowy*.

³ Hedayati, Asha: *Die stille Gewalt. Wie der Staat Frauen alleinlässt*. Rowohlt, Hamburg 2023